Sposób, w jaki to mówiła, zdradzał wyraźnie, że była narzeczonym zachwycona.

Jednak i o praktycznej stronie małżeństwa nie zapomniała.

Podobało się jej bardzo, że Franuś Jaśmont miał dobre konie, krów aż sześć i spory kawał łąki.

Gdyby to jeszcze ojciec mógł jej gotówką cały posag wypłacić!

Ale gdzie tam!

Połowę tylko wypłaci, a na połowę weksele wyda.

Na ten proces z panem Korczyńskim wielkie koszta położył i teraz dla rodzonego dziecka kurczyć się musi.

Żeby te procesy licho wzięło!

**Kiedy wchodziły do zagrody Fabiana, słońce rozścielało po jej trawach złoty kobierzec, a mnóstwem tajemniczych i ruchliwych świateł napełniało gaj śliwowy, w którym sterczało kilkanaście starych ulów, brzęczały pszczoły i na zabój śpiewały szczygły.**

Za śliwowym gajem, łankiem dojrzałego owsa i zagonami warzywa, u których kresu iskrzyły się krzaczyste floksy i czerwone georginie, dom ku ogrodowi bokiem, a ku małemu podwórku gankiem zwrócony stał pod srebrnymi topolami, które na jego strzechę i jedyny komin lać się zdawały nieustanny deszcz srebrnych kropel.

Wszystko tu było tak prawie, jak u Anzelma i Jana, jednak daleko ciaśniej i biedniej.

**Ule były starej konstrukcji i nie pomalowane, stodoła mniejszą i lasem chwastów dokoła obrosłą, ściany domu od starości trochę wykrzywione, strzecha miejscami od porastającego ją mchu zielona, miejscami żółtą słomą połatana.**

Z drzew owocowych, oprócz śliwowego gaju, tu i ówdzie pośród zagrody stało tylko kilka prawie zdziczałych grusz i jabłoni.

Ale z ławy stojącej pod wykrzywionymi ścianami domu, spod dwu otwartych okien o małych i mętnych szybach, na widok wchodzącego do zagrody gościa bardzo poważnie podniosła się para ludzi i bardzo ceremonialnym krokiem naprzód dążyła.

Mężczyzna, do rydza ze sterczącymi wąsami i błyszczącymi oczami podobny, jedną rękę opierał na kłębie, drugą, w której wytartą czapkę trzymał, spuszczał u boku.

Kobieta, cienka, mizerna, w krótkiej spódnicy, przedwiecznej, rozwiewającej się mantyli i kornecie, czyli białym czepcu z obfitym i sztywnym wygarnirowaniem, szła cała w takich uśmiechach i krygach, jak gdyby zaraz do ceremonialnego i dygającego menueta stanąć miała.

Na ścieżce pomiędzy owsem i zagonami buraków wydeptanej Fabian głośny pocałunek złożył na ręce Justyny, a wnet potem obie już ręce na kłębach opierając zaczął:

— Bardzo jestem kontenty i najuniżeniej dziękuję, że otrzymać mogłem tę promocję, której tak często sąsiedzi moje doświadczają.

Bo choć oni troszkę i bogatsi ode mnie, ale ja również sam sobie pan jestem i znacznym nie będąc mogę być zacnym.

Proszę panią dobrodziejkę naprzód postąpić… z ukontentowaniem proszę!

Fabianowa zaś usta sznurując dygała i w wyciągającą się ku niej dłoń Justyny wsunęła rękę kościstą, do pomarańczowej prawie barwy ogorzałą, od spracowania twardą.

Trochę była zakłopotana i bardzo zajęta tym, aby okazać się nie tylko przystojną, ale i dworną, nad to, co ją otaczało, nieco wyższą.

Za mężem powtarzała:

— Proszę… z ukontentowaniem proszę!

I po zagonach buraków idąc stopą w gruby trzewik obutą, suche gałązki zrzucała ze ścieżki, którą szła Justyna.

— Śmiecie u nas — tłumaczyła się — zwyczajnie, jak na małym gospodarstwie… pani do tego nie przywykła i ja kiedyś insze życie i uzwyczajenia miałam.

Giecołdówna z domu jestem, ociec mój na takiej zagrodzie nie siedział, ale po dzierżawach chodził… później już, kiedy Pan Bóg nie pobłogosławił, pożary i mory na bydło nawiedziły, na ekonomię zszedł…

Westchnęła i chudy policzek na dłoni oparła.